POLSKA WALCZĄCA

ŻOŁNIERZ POLSKI NA OBCZYŹNIE

FIGHTING POLAND — POLISH WEEKLY — PRICE THREEPENCE (in U.S.A. and Canada 5c.)

Wychodzi co tydzień — Dnia 22-go marca 1947 r — Rok IX. Nr. 11

EMIGRACJA PRAWDY

Od kilku lat żyjemy w świecie fałszu i kłamstwa. Widzimy, jak najbardziej solenne przyrzeczenia i zobowiązania zostają niespełnione. Przyjaźnie są cynicznie zdradzane. Niedawni bohaterowie pohańbieni, a przestępcy uhonorowani. Spółwinni największych przestępstw wybielani. Materialna wygoda, potrzeba chwili, namacalna użytkowość zwyciężają wartości moralne, łamią normy prawne.

Świat odwraca spojrzenie nawet od obrazu swej własnej, może niedalekiej przyszłości. Zapomina o niedawnych przykładach płaszczenia się przed złem, o skutkach karmienia brutalnej siły kompromisem. Czuje się on wielki i potężny, sądzi, że na wiele sobie może pozwolić. Myśli, że za jego spokój, przejściowe zmniejszenie kłopotów, zapłacić można swobodnie cierpieniami milionów.

W świecie tym patrzą na nas jak na Don Kichotów, na ludzi, goniących widmo. Wzbudzamy irytację jako zagadnienie — i jako wyrzut sumienia. Świat kłamstwa woła do nas ze zdziwieniem: czemu nie godzicie się z tym, cośmy uznali, przecież my lepiej wiemy, co jest prawdziwym dobrem, skąd ta wasza nieufność? Wynik wyborów — nowy gwałt na woli Narodu Polskiego — został uznany jako fakt dokonany. Zachowano pozory dąsów i niezadowolenia. W ten sposób nie zatrzaśnięto furtki — może się coś jeszcze utarguje. Ale nie łudźmy się, w tym targu nie będzie chodzić o Polskę.

Stan niewoli w Polsce stabilizuje się. Na jak długo — nie wiemy. Musimy zdawać sobie sprawę z wielkości naszych obowiązków, wysiłków i trudności. Polska emigracja polityczna po rozgromieniu wszelkich prób opozycji w Kraju, staje się jedyną drzazgą w gładkiej powierzchni. Emigracja jest jedyną, zewnętrzną, ujawnioną przeszkodą w przetrawianiu tego zwycięstwa przez sowiecką agenturę. Musimy się liczyć z tym, że znajdziemy się jako całość, wraz całym narodem, pod większą presją, niż dotychczas. Że użyte zostaną środki bezpośrednie i pośrednie.

Tam, gdzie przemoc fizyczna grozi połamaniem kości, bezpośrednią eksterminacją — życie narodowe musi się skurczyć, przystosować, czekać. Mała, wolna część narodu, jaką jest emigracja, zachowa tę samą odporność, szczęśliwie nie potrzebując kryć swego oblicza i nie przerywając działania. Wzmożony nacisk wytrzymamy, nęcenie łaskawością nas rozśmieszy.

Siła nasza jest w Prawdzie. Znamy ją, wierzymy w nią, nie mamy co do niej wątpliwości. Broniąc jej i mając obowiązek przetrwania do chwili, gdy będzie mogła znów zatriumfować, musimy sami jak najbardziej oczyścić się z kłamstwa. Bo jednak jest ono i między nami.

Przejścia wojenne i rozczarowania okresu powojennego boleśnie nas doświadczyły. Runął nasz dom i ciężko jest szukać schronienia. Instynkt samozachowawczy słusznie każe znaleźć wyjście z kłopotów osobistych, nakazuje zakotwiczyć się o jak najpewniejszy grunt. Robiąc te zabiegi — konieczne i pożyteczne — zbyt często jednak skupiamy na tym całość wysiłku, myśli i zainteresowań. Polskę mamy tylko na ustach, gdy potrzeba. Więc kłamiemy. Może tylko przed samym sobą — takie kłamstwo jest najniebezpieczniejsze.

W życiu publicznym wydarzenia paru ostatnich lat uwypukliły nieprzystowanie pod wielu względami budowy organizacyjnej emigracji do aktualnych potrzeb. Ponieważ zmiana musiałaby wysunąć nowe siły na czoło, dawne formy życia są bronione i reklamowane jako najlepsze, niezastąpione. To samo odnosi się do wielu jednostek ludzkich, których przydatność w nowych, zmienionych warunkach zmniejszyła się ogromnie. Nie mogą się one jednak zdobyć na spojrzenie prawdzie w oczy i przekazanie swych ról i prac w bardziej odpowiednie ręce.

Szkodliwe dla odporności i energii środowiska emigracyjnego jest również zbyt częste przebywanie w świecie złudzeń. Stwarzamy sobie miraże szczęśliwych rozwiązań osobistych czy też szerszych i przeżywamy potem rozczarowania. Jednym ze sposobów wojny propagandowej jest wytwarzanie fałszywych, nieziszczalnych nadziei. Z nadmiernego optymizmu po ich niespełnieniu — przechodzi się zwykle wprost do krańcowego czarnowidztwa.

Wielu z nas żyło nadzieją szybkich przemian w sytuacji międzynarodowej. Stawiano sobie różne terminy, bliskie lub dalsze. Ponieważ to już niedługo — więc czekano bezczynnie. Nie przystosowywano ani psychiki własnej, ani możliwości praktycznych do rozwiązania innego, do konieczności długiego przebywania poza Krajem. Kiedy przyszła chwila uświadomienia sobie tego, wystąpił kontrast między rzeczywistością a nadziejami, kryzys był bardziej głęboki.

W dziedzinie życia osobistego widziano w sferze złudzeń coraz to nową Mekkę, gdzie wszelkie kłopoty miały przestać istnieć. Dla jednych było nią dostanie się do Włoch z obozów niemieckich, dla innych — Wielka Brytania, dla niektórych — możliwie szybkie, nieprzygotowane należycie wylądowanie na własną rękę za oceanem. Tak jakby fakt zmiany miejsca był już wszystkim, jakby w krajach tych różdżka zaczarowana spełniać miała wszelkie życzenia. Życie przyniosło rozczarowanie.

Myślmy realnie. Rozstrzygającym momentem dla powodzenia osobistego będzie gotowość do pracy i znalezienie jej w formie i na warunkach najbardziej odpowiednich. I nie będą to żadne kokosy. Niech każdy przestudiuje tabele płac tam, gdzie ma zamiar rozpocząć życie cywilne, i przyjrzy się, jakie kwalifikacje swoje może sprzedać. Oczywiście tylko te prawdziwe, realne, które znajdą kupca, a nie oparte na stanowiskach zajmowanych w przeszłości. Nie będzie wówczas rozczarowań, a przeciwnie — postawiony zostanie pierwszy krok na drodze do normalnego życia.

Zejdźmy w ogóle na ziemię. Patrzmy krytycznie wokół siebie i w nas samych. Nie spodziewajmy się cudów i darów. Przyjmijmy konieczność zejścia w wielu wypadkach w dół po drabinie społecznej. Zdajmy sobie sprawę, że rozpoczynamy życie w warunkach nowych i obcych i że na żadne przywileje liczyć nie możemy.

Bądźmy solidarni, prawi i pomagajmy sobie wzajemnie. I zawsze — nie tylko w słowach, lecz w sercach i w czynach — dawajmy wyraz naszej gotowości do pracy nad wspólną nam sprawą odzyskania wolności.

Bądźmy naprawdę Emigracją Prawdy.

WITOLD ALMARSKI

PODRÓŻ

Ciepłych romańskich miast pachnących jabłkami
i winem
Pamiętam lepki brzask i zmierzchu zieloną godzinę ;

I ziemię tak dobrze jak tych, którzy polegli na niej —
Skaliste brzegi Apulii i pagórki Toskanii.

Pamiętam też wielbłądy ciągnące u stóp piramid
I babilońskie ogrody królowej Semiramis,

I dumny Memfisu gruz i kraj ojczysty Hafisa
I niebo nad Getsemani złożone na cyprysach.

Wracam, gdy tylko zechcę, w pustynny szlak
greckich legii,
W księgozbiór klinowych gwoździ i w assyryjskie cegły,

I w muzealnych gablotek — ciężkie brązowe miecze
Lub w wielobarwne dywany w damasceńskim meczecie.

Dźwięczy mi jeszcze w uszach gardłowa obca piosenka,
Którą śpiewają w zadumie wnukowie Timur-Lenka ;

I widzę auł, co czeka powrotu hordy złotej —
A horda nie wróci nigdy i muezzin wie o tym.

Więc płacze pieśniarz na wieży, nad miastem,
o zachodzie,
A ja go słucham przez chwilę i pośpiesznie odchodzę.

I później, w żółtym hotelu albo na głuchej stacji
Nie umiem sobie przypomnieć szumu bliskiej akacji;

Akacji, co szumiała u dawnych znajomych okien
Przed tą podróżą i przed — trzydziestym
dziewiątym rokiem.

ARTUR MIĘDZYRZECKI

KONIEC EPOPEI

Dzień 31 marca 1947 jest kresem istnienia niezależnej Polskiej Marynarki Wojennej. Około 20% jej personelu zdecydowało się na powrót do Kraju, reszta oświadczyła się bądź za daleką emigrację, bądź wybrała pobyt w PKPR i szukanie możliwości życiowych na obczyźnie. Po prawie trzydziestoletnim istnieniu, koniec morskiej epopei wypadł inaczej, niżeśmy mieli prawo się spodziewać.

W dniu 8 marca oficerowie, podoficerowie, marynarze i urzędnicy Kierownictwa Marynarki Wojennej żegnali ustępującego po 21 latach piastowania godności Szefa KMW — admirała Świrskiego. Pierwszy pożegnał go najmłodszy z marynarzy, poczem żegnali wszyscy, wzwyż, aż do kontr-admirała Unruga, który pozostaje na czele morskiego skrzydła PKPR. Nie jest to frazes — ale w niejednych oczach widać było łzy.

Nie pragniemy rozstrząsać, czy ktokolwiek kochał lub lubiał admirała Świrskiego. Ale rzecz pewna, że go wszyscy szanowali. Rzecz pewna, że widzieli w nim pewien symbol. On to bowiem był pierwszym dowódcą floty, a potem od roku 1925 — Szefem Marynarki, jej organizatorem i administratorem.

Osobistość admirała — tak mało znana, bo nie zabiegał nigdy o popularność, nie znosił reklamy i nie narzucał się nikomu — zasługuje w pełni na ten szacunek. Daleki od polityki, wybitny fachowiec, skromny, cichy, nie mający w sobie nic z buńczuczności czy soldateski, ten naprawdę demokratyczny dowódca wypił do dna kielich goryczy, który mu los zgotował.

Jeszcze w Polsce życie jego było ciągłą walką z przeciwieństwami. Można sobie łatwo uprzytomnić, że tworzenie marynarki w kraju, który nie tylko jej przedtem nie posiadał (t.zw. flota zygmuntowska XVII wieku była wydarzeniem krótkotrwałym i charakteru narodowego nie miała), ale nawet nie wiedział, co to jest morze i jak zeń korzyść ciągnąć można — nie należało do rzeczy łatwych. Do trudności psychologicznych, finansowych, organizacyjnych i technicznych dołączyły się w Polsce jeszcze trudności hierarchiczne. Marynarka nie była odrębną częścią Sił Zbrojnych, ale podporządkowana została Wojsku. A Wojsko miało dość własnych kłopotów, by się o nią szczerze troszczyć i rzeczowo stawiać jej sprawy. Najwyższe władze wojskowe nie miały zresztą pojęcia o jej strategicznym czy taktycznym zastosowaniu. To też przez długie lata Marynarka ta była kolejno Kopciuszkiem, reprezentacyjną zabawką i ubogą krewną. Każdą pozycję w jej maleńkim budżecie trzeba było wywalczać „zębami i pazurami“, a raz wywalczywszy bronić przed wycofaniem czy „zamarznięciem“.

Wisiała nad tą „marynarką w powijakach“ ciągła groźba redukcji czy nawet likwidacji. Raz chciano ją skasować w ogóle, innym razem przeistoczyć w rodzaj morskiej straży granicznej, podległej władzom cywilnym. Czynniki niekompetentne, z zapałem godnym lepszej sprawy, przeciwstawiały się jej istnieniu. Im mniej znały sprawę, tym goręcej dowodziły, że marynarka jest przeżytkiem, lub że w naszych warunkach jest nam zupełnie niepotrzebna — szkodliwa nawet.

Rzecz jasna, że w tych warunkach stanowisko Szefa Kier. Mar. Woj. nie było synekurą. Dopiero dziś ocenić można cały ogrom wysiłku, jaki trzeba było włożyć, aby w podobnych warunkach nie tylko utrzymać to co jest, ale szkolić, budować, tworzyć z niczego i w końcu zorganizować morską siłę zbrojną, która w walce z wrogiem potrafiła dotrzymać kroku najstarszym i największym marynarkom na Siedmiu Morzach świata.

Dopiero na dwa lata przed wojną udało się admirałowi Świrskiemu jako tako „zafiksować“ własny budżet marynarki (zaledwie 5% budżetu obrony państwa) i uzyskać pewną niezależność organizacyjną. Stworzono też własny przemysł okrętowy i rozpoczęto budowę okrętów bojowych na własnej stoczni. Niestety, jak to admirał Fisher zwykł był mawiać — było już „czternaście razy za późno“.

Nie trzeba być wielkim strategiem, by dowieść, że gdyby marynarkę polską doprowadzono do owych 150.000 ton, przyznanych Polsce na konferencji rozbrojeniowej w Genewie, losy wojny potoczyć by się mogły innymi drogami. Zbyt późne fortyfikowanie Helu, brak należytej bazy i brak odpowiedniej do naszych potrzeb floty oraz lotnictwa morskiego sprawił, że straciliśmy łączność ze sprzymierzeńcami, którzy na Bałtyk z pomocą przybyć nie mogli ; sprawił też, że Pomorze upadło przedwcześnie, a Prusy Wschodnie stały się terenem dla wypadu na stolicę Polski i jej tyły. Piszący te słowa był świadkiem rozmowy, w której attaché morski Francji oświadczył: „Byliśmy gotowi dać wam 20 okrętów podwodnych na Bałtyk, ale nie możemy, bo z braku odpowiedniej bazy okręty te byłyby stracone po kilku tygodniach“.

Mimo te syzyfowe warunki, marynarka polska rozwijała się i rosła. Wola, rozum, wytrwałość i takt jej szefa, oraz zapał i fachowa praca personelu tworzyły omalże cuda. Przecież polskie okręty wojenne dokonały już w pierwszych miesiącach wojny niejednego niepowszedniego wyczynu bojowego, choć szkolone były tylko na Bałtyku i w tak skromnych warunkach, że na strzelania ćwiczebne przypadało często po 6–8 pocisków na działo, a zimą większość floty stała w rezerwie, bo trzeba było oszczędzać skromną dotację ropy kotłowej.

Stworzenie tej dalekomorskiej marynarki polskiej, wsławionej dziś bojami od wód Arktyku poza równik, i wychowanie personelu, który do dziś dnia jest ceniony i szanowany przez „*Royal Navy*“ — było dziełem admirała Świrskiego. Dziełem, jak wiemy, nie małym i jedynym w swoim rodzaju. W innych dziedzinach naszego młodego życia państwowego były tradycje czy precedensy — tu nie było nic, prócz przeszkód i trudności. Trzeba to sobie należycie uprzytomnić, aby ocenić we właściwym stopniu zasługi szefa i podległego mu personelu. Bo w czasie pożegnania, admirał Świrski powiedział: „Jeśli w ogóle mogłem coś zrobić, zawdzięczam to w pierwszym rzędzie oficerom, podoficerom i marynarzom naszej marynarki“.

Admirał Świrski, jak rzekliśmy, nie był typem „wodza“, w patetycznym tego słowa pojęciu. Podczas gdy przeróżni generałowie jeździli luksusowymi samochodami, on — jeszcze na kilka lat przed wojną — zajeżdżał przed Sztab Główny taksówką. Nigdy nie podnosił głosu, nie lubował się w długich przemówieniach, nie ucztował, nie wywyższał się, nie pogardzał „cywilami“.

Ekspansywny nie był, co nie znaczy, aby był bez serca. Wprost przeciwnie — przykrości przeżywał wewnętrznie, może boleśniej od innych. Ale też jego energia i wytrwałość, jego iście prawniczy i młody umysł, prawdziwie dżentelmeński takt, niezmordowana pracowitość pozwalały mu działać i walczyć dalej. Jeśli dziś ustąpił — choć nadal z marynarką związany — to tylko wobec okoliczności, silniejszych od woli człowieka. A choć nie ma już okrętów i załóg, to jednak dzieło przezeń stworzone wciąż jeszcze wydaje owoce i, da Bóg, długo głośne pozostanie. Aż do chwili, gdy w myśl słów zgasłego w więzieniu sowieckim Mariusza Zaruskiego, znów:

„Na świata stron cztery,
Po setki set lat,
My polskie bandery
Wzniesiemy nad świat“.

JULIAN GINSBERT

OPUSZCZONE LOTNISKO

Jest taka łąka, jak pieczęć milczenia
Na krajobrazie —
Ucałowaniem czułym położona,
Której nie zetrzesz...
Trawy objęte w runway'ów ramiona,
Jeszcze niedawne przeżywają drżenia
I rytmem śmigieł zieleń rozbudzona
Jeziorem marzeń
Płynie na wietrze...

Opustoszałe, tęskne trampoliny
Skocznie w obłoki —
To bieżnie. Drogi nieznanej przygody
W zielonej toni...
Biegliśmy nimi wśród uniesień młodych
Zgubić się w cieniu samotnej godziny,
Lub słońce gasząc skrzydłem dla ochłody
W skręcie głębokim
Horyzont gonić...

Na zgiętym grzbiecie hangaru powiewa
Wierny uparcie —
Wiatrowskaz. Strugom powietrznym nadstawił
Niesytą mordę...
I bije w niebo skrzypieniem żórawi,
Lub kwili z cicha jak samotna mewa
Zbłąkanej duszy : dziś jej nie wybawi
Wściekle crescendo, którym się rozśpiewał
Silnik na starcie
Brzmiącym akordem...

Zmierzch. Słońce w łąkę wtacza się czerwonym
Okrągłym dyskiem —
Idę z cieniami dawnych towarzyszy
Na przełaj po niej...
Pachnie... Pieczarki w mokrej ziemi dyszą,
W niechętne skrzydła uderzają wrony,
Ostatnie skrzydła, które tu posłyszysz
Nad tym lotniskiem,
Co pustką wionie...

PAWEŁ MOSKWA

Przegląd tygodniowy

„TOCZY SIĘ WOJNA...“

Konferencja w Moskwie miała być wydarzeniem kapitalnej wagi, ale tak się złożyło, że pierwsze dni jej obrad usunięte zostały w cień przez mowę prezydenta Trumana o pomocy dla Grecji i Turcji. Mowa ta wykazała, że w oczach Ameryki istnieje coś ważniejszego od sprawy Niemiec, która — należy się spodziewać — zostanie odtąd potraktowana tak, jak powinna była być traktowana od początku: jako jeden z wielu fragmentów składających się na największe zagadnienie świata — problem Rosji.

Jeszcze w przededniu wyzwania rzuconego polityce sowieckiej przez prezydenta Trumana sprawa postawiona została bardzo jasno przez popularny tygodnik amerykański „*Time*“, który cytował niewymienioną z nazwiska osobistość amerykańską, dobrze zorientowaną w polityce Departamentu Stanu i tak oceniającą sytuację międzynarodową:

„Nic nie byłoby bardziej szkodliwe, aniżeli wywoływanie w narodzie amerykańskim wrażenia, że istnieje problem niemiecki. Nie ma problemu niemieckiego. Jest problem rosyjski.

„Podczas gdy przygotowujemy się do załatwienia w Moskwie z Rosjanami jednego z naszych zagadnień, trwa nadal to, co nazywam wojną; toczy się ona wszędzie — w Grecji, we Francji, w Korei i w wielu innych krajach. W wojnie tej tracimy na terenie.

„Istnieją wciąż ludzie, którzy twierdzą, że partia komunistyczna w tym czy innym kraju niekoniecznie pracuje wyłącznie dla Rosjan. Nie ma nic bardziej głupiego, niż takie twierdzenie. Dajemy Rosjanom atuty do ręki, jeżeli nasza prasa wytwarza wrażenie, że ignorujemy tę wielką wojnę i jeżeli mówimy o „rokowaniach“ z Rosjanami. Nasze doświadczenie poucza nas, że nie jest możliwe rokować z nimi. Albo ustępuje się im, albo mówi się — „nie““.

ZNACZENIE MOWY TRUMANA

Te słowa pozwalają właściwie ocenić mowę Trumana. Jej największe znaczenie polega nie na tym, że Grecja i Turcja dostaną pomoc, ani nawet nie na tym, że z czasem, jeżeli zajdzie tego potrzeba, mogą znaleźć się w tych krajach wojska amerykańskie. Nie znaczy to oczywiście, że przesunięcie granicy politycznej i ewentualnie wojskowej St. Zjednoczonych na północną granicę Grecji i zwłaszcza objęcie nią punktu tak newralgicznego, jakim są Dardanele, stanowi fakt małego znaczenia; przeciwnie jest to wydarzenie doniosłe. Wspólna granica obu olbrzymów ulega w ten sposób wydatnemu wydłużeniu, a Stany Zjednoczone po raz pierwszy angażują się czynnie w obronie istniejącego w tej części świata stanu rzeczy.

Ale faktem jest, że granica dwu światów — wolnego i niewolniczego — nie ulega przez to zmianie. I dlatego właśnie widzimy najważniejszą stronę wydarzenia nie w tym, lecz w jasnym postawieniu sprawy przez prez. Trumana. Wreszcie skończył on ze wszelkimi fikcjami współpracy wielkich mocarstw, jedności Narodów Zjednoczonych i tp. ułudami, którymi karmiono opinię świata przez ostatnie dwa lata.

Truman nie pozostawił żadnej wątpliwości co do tego, że rząd amerykański zrozumiał prawdę, którą sformułowała wyżej przytoczona osobistość z Departamentu Stanu: a mianowicie, że toczy się wojna. Nie jest to wojna w zwykłym tego słowa znaczeniu, skoro toczy się ona bezkrwawo (co najwyżej potyczki w niej przynoszą przelew krwi). Jest to wojna polityczna i ideologiczna, ewentualnie gospodarcza, ale nie mniej — wojna.

Siła Sowietów polegała na tym właśnie, że ich partnerzy nie chcieli zdawać sobie prawdy z tej prostej prawdy i ignorowali systematycznie prowadzoną przez Moskwę, czasem jawną, a czasem ukrytą, wojnę przeciw całemu światu nie-bolszewickiemu. Dopóki Zachód zamykał na to oczy i wierzył, że można prowadzić rokowania z Sowietami, Moskwa mogła robić, co jej się podobało. Teraz Truman pokazał Ameryce prawdę.

Odtąd świat wie, że wojna się toczy. Nie jest zaś ona wcale mniej niebezpieczna przez to, że jest bezkrwawa.

DOLARY I IDEE

Jak Ameryka zamierza wygrać tę wojnę polityczno-ideologiczną? Truman odpowiada na to pytanie: przede wszystkim za pomocą środków gospodarczych i finansowych. Jego zdaniem totalitaryzm komunistyczny może prosperować tam, gdzie jest nędza i ruiny. Zlikwidować nędzę, podnieść poziom życia a komunizm straci grunt pod nogami. Stąd polityka pożyczek, dziś dla Grecji i Turcji, jutro dla Korei, krajów arabskich, może także Węgier. A że dolar nie jest w każdym razie zdolny sam jeden przeciwstawić się agresji z zewnątrz, więc jednocześnie Truman planuje wzmacnianie, unowocześnianie i wyposażanie armii greckiej i tureckiej.

St. Zjednoczone idą tu w ślady Wielkiej Brytanii, która przez dwieście z górą lat uprawiała „dyplomację złota“, kredytami i pożyczkami tworząc koalicje do walki z państwem, sięgającym po panowanie nad Europą.

Nasuwa się jednak pytanie czy te środki są dostateczne w walce z i d e ą. Bo najsilniejszym atutem Rosji jest dziś broń ideologiczna. Sowiety uprawiają wszędzie taktykę przenikania; rozporządzając zastępem ludzi, dla których komunizm jest nową religią i którzy gotowi są poświęcić wszystko dla urzeczywistnienia ideału światowej federacji republik sowieckich, posiadają w poszczególnych krajach świata piątą kolumnę, o jakiej Hitler nie mógł nawet marzyć.

Przeciw tej broni nie wystarczy wznoszenie fortyfikacji dobrotytu. Trzeba walczyć na froncie ideologicznym. Trzeba także zlikwidować tę piątą kolumnę, która wdarła się do obozu demokratycznego. Celem musi być obalenie mitu sowieckiego i uniwersalny triumf idei demokratycznej.

OBRONA CZY ATAK

W obecnej swej fazie nowa polityka amerykańska ma charakter zdecydowanie obronny. Jej celem nie jest obalenie mitu sowieckiego, ale jedynie udaremnienie dalszych postępów totalizmu komunistycznego w drodze akcji uzbrojonej mniejszości lub nacisku z zewnątrz. Innymi słowy chodzi o to, by obecna linia podziału między światem wolnym, a niewolniczym nadal biegła wzdłuż granic Grecji i Turcji, pozostawiając oba te kraje po stronie „wolnej“.

Ale może to być programem tylko na krótką metę. Tak jak podczas wojny niepodobieństwem było zadowolnić się obroną frontu, tak nie jest to możliwe i podczas wojny politycznej. Nieodzowne jest przejście do ataku.

Wyobraźmy sobie, że w jakimś mieście hula groźny włamywacz. Obrabował już szereg banków i czyha na nowe ofiary. Cóż robią w takim wypadku władze bezpieczeństwa? Mogą albo postawić wszędzie posterunki policyjne dla pilnowania zagrożonych obiektów; albo też użyć wszystkich sił, którymi rozporządzają, aby ująć włamywacza i zapewnić miastu spokój i bezpieczeństwo. Pierwsza metoda jest łatwiejsza; chwilowo zabezpiecza zagrożone obiekty. Ale stałe pilnowanie każdego banku, sklepu i td. byłoby kosztowne i wcale nie gwarantowałoby pełnego bezpieczeństwa; prędzej czy później czujność wartownika mogłaby ulec znieczuleniu. Szczególnie zaś zawodna byłaby ta metoda, gdyby ów włamywacz miał wszędzie swych wspólników...

Z WASZYNGTONU DO MOSKWY

Dlatego też prędzej czy później konieczna będzie ofensywa ideologiczna zmierzająca do zlikwidowania źródła wszelkiego zła. Ale tymczasem nie doszliśmy jeszcze do tego.

Zdania wydają się podzielone, czy polityka Trumana powiększa czy też zmniejsza szanse przekształcenia się obecnej wojny politycznej w wojnę prawdziwą. Alarmów wojennych nie brak, nie wydają się one jednak uzasadnione. Pierwsza reakcja Sowietów nie jest zbyt gwałtowna, jeśli uwzględnić, jakim ciosem musiało być orędzie Trumana dla Kremla, który tyle korzyści czerpał z legendy o „jedności“ sojuszniczej. Prasa sowiecka nawymyślała prezydentowi St. Zjednoczonych, uczyniła zeń niemalże nowego Hitlera, ale Stalin nie zabrał — jak dotąd — głosu, a Mołotow nie stawia się zbytnio na konferencji czterech, przeciwnie, raczej jest dość „pojednawczy“. Stalin tym się różni od Hitlera, że jest znacznie ostrożniejszy i mniej skłonny do ryzyka. Toteż Grecy i Turcy mogą chwilowo przynajmniej spać spokojnie: napaść im nie grozi.

Dlatego też nie można twierdzić, że orędzie Trumana przybliża wojnę. Tak samo nie wydaje się, by samo w sobie miało przesądzić o niepowodzeniu konferencji w Moskwie. Inna rzecz, że szanse jej nigdy nie były wielkie. Pierwszy tydzień nie przyniósł jakichkolwiek wyników. Porozumienie osiągnięto jedynie co do zlikwidowania Prus, co jednak już uprzednio było w pełni uzgodnione i nawet proklamowane. Poza tym konferencja była jedynie przeglądem spraw spornych, których jest wiele i których nie ubywa.

Mołotow nawet próbował powiększyć ich liczbę przez dodanie do porządku dziennego sprawy sytuacji w Chinach. Cele tego manewru były przejrzyste, ale cała ta próba była wysoce niepoważna; niepodobieństwem było wyjaśnić, dlaczego konferencja zwołana dla sprawy Niemiec i Austrii ma się zajmować akurat Chinami. Zdecydowany sprzeciw rządu chińskiego, który odmawia obcym mocarstwom prawa dyskutowania o sprawach wewnętrznych Chin, pokrzyżował tę, niezbyt zgrabną, dywersję sowiecką.

Konferencja przystąpiła następnie do jałowej dyskusji na tematy niemieckie, usiłując ignorować owego dyplomatę amerykańskiego, którego cytowaliśmy na wstępie i który stwierdził, że „nie ma problemu niemieckiego, jest jedynie problem rosyjski“.

Londyn, 16 marca 1947

ALEKSANDER BORAY

SZKOŁA HOTELARSTWA W GLASGOW

Hotelarstwo jest ważnym źródłem dochodu narodowego i cieszy się we wszystkich krajach, a także i w W. Brytanii poparciem sfer rządowych oraz zainteresowanych przemysłów. Jest przy tym b. zyskownym zawodem, nie wymaga wytężonej pracy fizycznej i otwiera ogromne możliwości dla inicjatywy poszczególnych jednostek. Jest też rzeczą ważną, że w tym kraju łatwego i taniego kredytu właśnie w przemyśle hotelarskim najłatwiej jest uniezależnić się i zdobyć własny warsztat pracy.

Chcąc dopomóc w przygotowaniu Polaków do życia cywilnego, ruchliwy Polski Ośrodek Szkół, 5, Park Grove Terrace, Glasgow, C.3, otwiera 1 kwietnia br. 6-cio miesięczny Korespondencyjny Kurs Hotelarstwa.

W oczach obcych

Tematy polskie coraz bardziej schodzą z łamów prasy brytyjskiej. Na porządku dziennym jest Grecja, Turcja, Węgry, Niemcy, natomiast o Polsce staje się znowu głucho. Nawet sprawa zatrudnienia Polaków zeszła z pierwszego planu zainteresowania, skoro w zasadzie została przesądzona dodatnio. Jedynie problem t.zw. niezdecydowanych, których Anglicy nazwali „opornymi“ (*recalcitrant*), wywołuje pewne zainteresowanie.

Brytyjczykom nie jest łatwo zrozumieć, dlaczego pewna ilość żołnierzy polskich nie chce zapisać się do PKPR, pomimo iż nie zamierza wracać do kraju. Nie można się dziwić, że Brytyjczycy są tym stanowiskiem zaskoczeni, gdyż rzeczywiście nie wydaje się ono uzasadnione.

Dwu z pośród tych niezdecydowanych napisało listy do redakcji „*Manchester Guardian*“, przedstawiając swe motywy, przy czym każdy podał inne, a nawet sprzeczne ze sobą. Jeden twierdzi, że on i jego koledzy pragną pracować w Anglii i tylko dlatego odmawiają wstąpienia do PKPR, ponieważ ... pragną przejść do pracy cywilnej i być pod opieką urzędników angielskich, a nie polskich „reakcyjnych“ dowódców, podczas gdy drugi nie ukrywa wrogości wobec Brytyjczyków i motywuje odmowę wstąpienia do PKPR brakiem zaufania do rządu brytyjskiego. Przy takiej rozbieżności motywów redakcja nie bardzo wie, co o tym wszystkim sądzić i stąd jej artykuł wstępny, który głosi:

„Wielu z pośród nas było zaskoczonych statutem i funkcjami Polskiego Korpusu Przysposobienia i Rozmieszczenia. Toteż wolimy nie zgadywać co zwykły polski szeregowiec czy podoficer myśli o ostatniej debacie w Izbie Gmin lub też o rejestracjach przeprowadzanych przez ministerstwo Pracy. Dwa listy, które dziś ogłaszamy, są nieco niepokojące. Jeśli jakaś jednostka ma dobrych oficerów i tłumaczy, różne punkty mogły być żołnierzom dobrze wyjaśnione. Jest rzeczą jasną i zrozumiałą, że w niektórych obozach tak się nie stało.

Ilu z pośród tych polskich „opornych“ żali się na rzeczywiste krzywdy? Czy też w wielu wypadkach chodzi o skargi na tle nieświadomości naszych rzeczywistych zamiarów lub też podejrzeń wynikających ze źle przetłumaczonego na język polski paragrafu? Mogą istnieć słuszne powody dla strajku głodowego i oburzenia, ale wiele mogłoby z pewnością być usuniętych, jeśliby Polacy zostali poinformowani przez oficerów brytyjskich, czym jest Korpus i pocośmy go stworzyli“.

Jak widać „*Manchester Guardian*“ jest raczej bezradny w obliczu tej sprawy i zaleca jako lekarstwo rzecz, która została dokonana; o PKPR informowali oficerowie brytyjscy, a dokumenty tłumaczone były poprawnie. Sprawa jest po prostu bardziej skomplikowana, niż sobie pismo to wyobraża. W każdym razie na dobro zapisać mu trzeba chęć zrozumienia tych „niezdecydowanych“, których teraz tak niesłusznie odsyła się do Niemiec.

LECTOR

Polska pod okupacją: nasza łączność z narodem

Krytykując stosunki w dzisiejszej Polsce, krytykujemy posunięcia reżimu komunistycznego, który narzuca nam zmiany, obce polskiemu duchowi narodowemu, wypracowane w świecie innej cywilizacji, innego światopoglądu. Ta krytyka jednak nie może w żadnym wypadku przesłaniać nam samego narodu polskiego, z którym jesteśmy w najściślejszej łączności duchowej. Byłoby to wielkim niebezpieczeństwem, gdyby ktoś nie umiał dokonać rozróżnienia między elitą reżimową, która siłą dorwała się do władzy w Polsce a samym narodem, któremu elita ta jest tak samo obca, jak i nam.

Troski i radości społeczeństwa polskiego w Kraju są też troskami i radościami nas wszystkich, którym w udziale przypadło walczyć o niepodległość Polski poza jej granicami.

TRAGICZNY BILANS STRAT

W Kraju ogłoszony został bilans strat w ludziach i majątku społecznym, poniesionych przez naród polski w czasie ubiegłej wojny. Cyfry te do głębi wzruszą każdego Polaka. Obliczone one zostały przez Biuro Odszkodowań Wojennych.

„W czasie wojny i okupacji poniosło śmierć 6 milionów 28 tysięcy obywateli — cytujemy za „Gazetą Ludową“ nr. 30 — *Ubyło nam 22% ogółu ludności, co stawia Polskę na pierwszym miejscu tragicznej listy, obejmującej straty wszystkich narodów.*

„Na ogólną sumę 6 milionów 28 tysięcy straconych obywateli składają się następujące liczby:

a) wskutek bezpośrednich działań wojennych zginęło 664 tys. obywateli,

b) wskutek terroru okupanta 5 mil. 384 tys.,

c) okres wojny i okupacji przyniósł nam rzeszę inwalidów w liczbie 540 tysięcy,

d) chorych na gruźlicę (ponad teoretyczną liczbę zachorowań) 1 mil. 140 tys.

„Drugą kategorię strat poniesionych przez Polskę, obejmują straty materialne, których ogólna suma sięga 258 miliardów 432 mil. zł. przedwojennych.

„Składają się na to straty bezpośrednie, jak:

a) zniszczenia dóbr (kapitału rzeczowego) na sumę 62 miliardy 24 mil. zł. przedwojennych,

b) zabrana produkcja i usługi w okresie okupacji 26 miliard 776 mil.

„Nie mniejsze są straty pośrednie:

(a) Koszty związane z usunięciem niektórych rodzajów zniszczeń nie uwzględnionych w stratach rzeczowych 845 mil. zł.

b) Utracona produkcja w okresie powojennym wskutek zniszczenia dóbr (kapitału rzeczowego) 52 miliardy 502 mil. zł.

c) Utracone nadwyżki produkcyjne osób uśmierconych i dotkniętych kalectwem 74 miliardy 650 mil. zł.

d) utracona produkcja wskutek obniżenia wydajności pracy ludzkiej i rentowności kapitału w okresie powojennym 41 miliard, 635 mil. zł.

„Podana suma strat nie obejmuje wydatków wojennych na polskie formacje wojskowe, pokrywanych przez sojuszników oraz wszelkiego rodzaju pretensyj Państwa Polskiego i obywateli polskich z tytułu przerwania stosunków handlowych i gospodarczych wskutek wojny“.

Prasa krajowa podając te dane wyciąga z nich wniosek, że przy układaniu traktatu pokojowego z Niemcami muszą one zaważyć w sposób, który raz na zawsze zabezpieczy nasz Kraj i nasz naród przed powtórzeniem podobnej hekatomby. Jednym z podstawowych warunków naszego bezpieczeństwa na zachodzie jest granica polska na Odrze i Nissie. Co do tego są zgodni wszyscy Polacy, i ci w Kraju i ci na emigracji.

WARSZAWA NAJLUDNIEJSZYM MIASTEM W POLSCE

Pomimo tak wielkich strat materialnych i ludzkich naród nasz przejawia wspaniałą żywotność, jak to podkreślają wszyscy, którzy ostatnio byli w Polsce. Imponująca też jest wydajność pracy ludzkiej w Kraju, która wzrasta stale.

Jeden z dowodów tej żywotności to szybkie ponowne zaludnienie naszej stolicy, Warszawy.

„W lutym 1945 r. —pisze „Robotnik“ nr. 778 — *Warszawa miała niespełna 100.000 mieszkańców, z czego olbrzymia większość przypadała na Pragę. Napływ ludności był szybki i ciągły. Zbyt nawet szybki, jak na możliwości chłonne zrujnowanego miasta. 1 stycznia 1946 r. ludność Warszawy przekroczyła 350.000*

„Mimo bardzo ciężkich warunków egzystencji, mimo wielu braków, przede wszystkim zaś braku mieszkań, napływ ludności do stolicy w r. 1946 nie zmniejszył się, lecz przeciwnie, ciągle się zwiększał. Przeciętnie, jak dziś można stwierdzić, wzrost ludności miesięcznie przekraczał 15 tys. osób, w czym odsetek wzrostu naturalnego był, niestety, minimalny.

„Największe nasilenie dopływu notowano od lutego do września.

„...W grudniu przybyło nam również 68 cudzoziemców i na 1 stycznia gościło ich w stolicy Polski 1949, w tym 1108 mężczyzn i 841 kobiet.

„Skoro już przytaczamy aż tak dokładne dane dotyczące cudzoziemców — to przyjrzyjmy się jak się przedstawia sprawa podziału na płeć wśród warszawiaków. Okazuje się, że nadwyżka pań nie jest znów tak wielka, jak to się na ogół na ten temat mówi. W Warszawie jest ogółem 308.584 kobiet i 230.960 mężczyzn.

„1 stycznia 1947 Warszawa miała (dokładnie według raportu wydziału ewidencji ludności) — 541.493 mieszkańców (bez wojska).

„Liczyć się należy, że mieszkańców tych jest niewątpliwie trochę więcej, gdyż pewna ich ilość, trudna zresztą do uchwycenia, nie uznaje jeszcze meldowania. Tak, czy inaczej — opierając się wyłącznie na danych wydziału ewidencji ludności stwierdzamy, że Warszawa ma już obecnie więcej ludności niż Łódź — i jest znowu najludniejszym miastem w Polsce“.

Niestety sama odbudowa stolicy postępuje bardzo powoli. Jest to jednak „zasługą“ reżimu, który stawia dla swych względów doktrynalnych wielkie przeszkody inicjatywie prywatnej.

POZNAŃ — MIASTO TARGÓW I WYSTAW

Poznań, który ma za sobą chlubną kartę w historii wystaw i targów międzynarodowych i oddał nimi duże usługi wytwórczości polskiej i handlowi zagranicznemu — odnawia znów swoją tradycję dzięki prężności społeczeństwa. W maju bieżącego roku odbędą się pierwsze powojenne Międzynarodowe Targi Poznańskie w odbudowanych z gruzów wspaniałych halach.

„Robotnik“ (nr. 781) tak opisuje:

„W centrum Poznania, na powiększonych terenach, będą mogły rozwijać się Targi, na które z utęsknieniem czekają poznaniacy, wyrośli i wychowani od lat w tradycji pięknych imprez i wystaw.

„Odbudowano już pałac wystawowy, halę, przeznaczoną na stoiska dla państw obcych, halę ciężkiego przemysłu, w połowie gmach administracyjny, wznosi się w tej chwili smukłą wieżę wystawową — na wzór wież wystaw zachodnioeuropejskich i amerykańskich — na miejsce dawnej, ciężkiej i niezgrabnej wieży Górnośląskiej.

„Poznań jest czysty...

„Chociaż miasto otrzymało stosunkowo mało kredytów na cele odbudowy, z ulic już dawno usunięto gruz, a teraz oczyszcza się je tylko ze zmarzniętego śniegu. Wszystkie, zniszczone bombami samolotów i pociskami artyleryjskimi budynki mieszkalne i gmachy publiczne zostały odbudowane, lub są w trakcie naprawy. Zabezpieczono zamek i gmach Bazaru, wyremontowano gmach sądów, Dom Pocztowca i wiele innych, których nie sposób wymienić, gdyż trzeba byłoby pisać ... o wszystkich kolejno. Wokół zupełnie zniszczonych budynków, które zostały przeznaczone do rozbiórki, usunięto gruz i śmieci.

„Dzięki ofiarności całego społeczeństwa poznańskiego, którego inicjatywa nie jest niczym hamowana, wielki wysiłek nad uporządkowaniem i przywróceniem miastu dawnego życia, nie poszedł na marne“.

Naród polski mimo tragicznych warunków życia politycznego w dzisiejszej Polsce, dąży wytrwale do odbudowy Kraju i przywrócenia mu dawnych blasków. Ta żywotność i patriotyzm społeczeństwa są dla nas źródłem nadziei na lepszą przyszłość — Polski wolnej i w pełni niepodległej.

TADEUSZ NALER

Zemsta grzechu pierworodnego

(Korespondencja własna „Polski Walczącej“ na prawach wyłączności)

Norymberga, 26 lutego, 1947

Zakwaterowanie polskiej kompanii wartowniczej w Neueditelsau jest wręcz fenomenalne: niewielkie, schludne wille w małych, dobrze pielęgnowanych ogródkach. Świat śmieje się do mieszkańców will poprzez wielkie okna i oszklone werandy, niosąc do wnętrz zdrowy oddech wspaniałych lasów północnej Bawarii.

Zakwaterowanie kompanii wartowniczej w Roth jest inne: w lesie rzucono na ziemię podłogi, wbito kilka pali, całość pociągnięto płachtami brezentu — i już.

A zima tegoroczna wcale nie była łagodna.

Tuż pod Norymbergą stoją dwie kompanie wartownicze: jedna mieści się w ładnym budynku, który był zbudowany jeszcze za czasów hitlerowskich, jako kwatera wartowników, druga zaś stoi w barakach na wydmuchu. Baraki są dobre, dostatecznie szczelne i ciepłe. Cóż, kiedy na całą kompanię jest na podwórzu tylko jedna pompa, pod którą w zimie wartownicy polscy muszą się myć bez względu na pogodę!

A przecież zbliżamy się do drugiej rocznicy zakończenia działań wojennych w Niemczech! I minęła już pierwsza rocznica istnienia polskich kompanii wartowniczych. Czas by więc już był wyjść poza ramy prowizorium.

I czas by już był powiedzieć, że życie kompanii wartowniczych wcale nie jest łatwe, chociaż mogłoby niejedną trudność usunąć z drogi młodych chłopców polskich, noszących w amerykańskiej strefie granatowe mundury.

Jest jakieś niedomówienie w tej sprawie, jest jakiś wstyd fałszywy i jest jakiś, niemal już nieuchwytny dzisiaj — brak, od początku istnienia kompanii wartowniczych dający się we znaki licznej rzeszy Polaków, pełniących tę niewdzięczną służbę w Niemczech.

Brakiem tym jest bez wątpienia niejasne postawienie sprawy od samego początku.

Pytanie pierwsze: czy wartownicy polscy są żołnierzami, czy cywilami?

Otóż są cywilami, są strażą cywilną. I dlatego w swoim czasie władze amerykańskie z niezwykłą stanowczością przemalowywały zielone mundury wojskowe Polaków na granatowe. Działo się tak, aby nie drażnić Moskwy za pośrednictwem jej warszawskiej agentury obecnością jakiegokolwiek „wojska“ polskiego w Niemczech.

Równocześnie jednak wartownicy polscy pełnią służbę o charakterze zbliżonym do wojskowego i muszą podlegać pewnym, zbliżonym do wojskowych, lub całkiem wojskowym regulaminom. Na przykład muszą brać przepustki przy wydalaniu się z rejonu zakwaterowania, dokąd powracać mają o oznaczonej godzinie.

Trudno jest połączyć takie okoliczności z życiem ludzi cywilnych. Ale tak jest...

Pytanie drugie: czy wartownicy polscy korzystają w służbie z przywilejów wojskowych?

Tak. Udają się uzbrojeni na służbę i mają prawo strzelania do wszystkich, przebywających na pilnowanym terenie bez odpowiednich przepustek i niesłuchających wezwań wartowników.

Wypadki konieczności uciekania się do pomocy broni są rzadkie, ale istnieją. Niejednokrotnie zresztą są one dziełem prowokacji niemieckiej, Niemcom bowiem zależy na spowodowaniu jak najliczniejszych dochodzeń amerykańskich w polskich kompaniach wartowniczych. Niemcom chodzi o szerzenie zamętu.

Słusznym więc wnioskiem z dwu pierwszych pytań będzie stwierdzenie, że wartownicy polscy w strefie amerykańskiej Niemiec pełnią służbę wojskową, mają warunki życia i organizację, opartą na regulaminach wojskowych, będąc równocześnie cywilami i nie korzystając z cywilnych praw swobody osobistej.

Dlaczego tak jest — nie wiadomo. Myślę, że właśnie tu tkwi błąd pierwszy wstępnego okresu organizacyjnego kompanii wartowniczych. Błąd niedomówień, błąd fałszywego wstydu stawiania już na wstępie rokowań pewnych żądań.

A teraz przyjrzmy się wypadkowi szczególnemu, aby zrozumieć, jak doniosły sens życiowy kryje się w niezdecydowanej sytuacji wartowników polskich w Niemczech i jak poważne następstwa ma sprawa traktowania ich, jako cywilów.

W kompanii w Neumarkt zdarzył się przed kilku miesiącami przykry wypadek. Eksplodował tam granat, raniąc jednego z wartowników polskich p. S. W wyniku rany p. S. stracił rękę. Jest dzisiaj niezdolny do pracy wartownika. Znajdował się do niedawna w szpitalu Nr. 185 w Norymberdze. Jest to szpital wojskowy.

I do niedawna było wszystko w porządku. Teraz nie jest w porządku, albowiem nadszedł czas wypisania p. S. ze szpitala, gdzie miał bardzo dobrą i staranną opiekę.

Dokąd p. S., niezdolny do pracy inwalida, ma pójść?

Do kompanii wartowniczej wrócić nie może, gdyż już nie nadaje się do tej pracy, do obozu cywilnego na utrzymanie UNRRy pójść nie może, bo jest według UNRRowskiej terminologii „żołnierzem kompanii wartowniczej“. Więc dokąd ma pójść?

I co ma zrobić ze sobą? I z czego będzie żył?

Otóż tu ponownie wrócimy do spraw zasadniczych, do niedomówień początkowych i karygodnych błędów w okresie organizacji kompanii wartowniczych.

Gdyby bowiem p. S. był w amerykańskim pojęciu „żołnierzem“, przysługiwałoby mu jakieś odszkodowanie po wypadku bez jego winy. Gdyby p. S. był cywilem, mógłby korzystać z UNRRowskich i niemieckich instytucji opieki społecznej. Ponieważ jednak dla UNRRy jest on „żołnierzem“, a dla amerykańskich czynników wojskowych „cywilem“ — położenie staje się bez wyjścia, tragiczne położenie dwudziestodwuletniego inwalidy, rzuconego na bruk po wypadku, jakiemu uległ w służbie, czy jeśli ktoś woli: przy pracy.

Sądzę też, że znaczną część odpowiedzialności ponosi tu strona polska, a nie amerykańska, ponieważ strona polska w okresie tworzenia kompanii wartowniczych interesowała się niemal wyłącznie liczbą wartowników, a nie warunkami ich pracy, nie warunkami ich ubezpieczenia i nie warunkami codziennego życia, spędzanego niejednokrotnie tak, jak w kompanii w Roth w podszytych wiatrem namiotach.

Z tych początkowych niedomówień i niejasności wstępnych rodzi się najniepotrzebniej cały szereg innych nieporozumień i trudności.

We wrześniu 1946 roku władze amerykańskie wprowadziły w swojej strefie w Niemczech walutę okupacyjną — t.zw. *scrip* dolarowy. I od tej chwili we wszystkich messach, we wszystkich instytucjach amerykańskich i przy wszystkich imprezach płaci się w *scripsach* dolarowych.

Te kompanie wartownicze, które były zorganizowane dobrze, miały przeważnie swoje kluby żołnierskie. Można tam było dostać piwo, którego władze amerykańskie nie szczędziły, dzieląc się nim chętnie z Polakami.

We wrześniu ub.r. trzeba było jednak za to to piwo płacić w nowej walucie — w *scripsach* dolarowych. Tych *scripsów* Polacy nie dostali. Nie dostali dlatego, że są w pojęciu wojska amerykańskiego „cywilami“. Ponieważ zaś nie dostali *scripsów*, nie mogli już sobie pozwolić ani na kupno piwa, ani na kupno papierosów w sklepikach *Post Exchange*, ani na kupno pasty do zębów, ani na kupno mydła i t.d. i t.d.

Sytuacja stała się nie do zniesienia. I wówczas władze amerykańskie gwałtownie zaczęły łatać braki, wydzielając jakieś mydło i najniezbędniejsze rzeczy. Papierosów ciągle jednak nie było i nie było niemal wcale *scripsów* dolarowych, za które Polacy mogliby korzystać z przysługujących aliantom przywilejów.

Ostatnio wartownicy polscy dostali *scripsy*. Niezależnie od rangi każdy otrzymuje obecnie 5 dolarów miesięcznie w *scripsach* dolarowych. Pozostałą część poborów otrzymuje w markach niemieckich.

Dlaczego jednak pierwsze *scripsy* dolarowe wypłacone zostały Polakom w strefie amerykańskiej dopiero w grudniu 1946 roku, jeżeli waluta okupacyjna została wprowadzona już we wrześniu 1946 r.?

Skąd biorą się te wszystkie przykre niedociągnięcia?

Pochodzą one ciągle z „grzechu pierworodnego“, polegającego na niejasnym sprecyzowaniu statutu kompanii wartowniczych. Jeżeli bowiem wartownicy mają być 100% cywilami, należą się im prawa cywilów, chociażby jedynie pod względem swobody osobistej, w czym należy rozumieć mieszkanie i przychodzenie do pracy w godzinach pracy z pozostawieniem całkowitej wolności poza godzinami pracy. Jeżeli zaś mają żyć na statucie wojskowym — muszą mieć prawa wojskowych, polegające m.in. na opiece szpitali wojskowych nie tylko podczas choroby, ale i na zapewnieniu inwalidom możności życia w wojskowych domach inwalidzkich.

Wróćmy teraz na chwilę do sprawy zakwaterowania.

Otóż i na jej tle ponownie wystąpią znów „grzechy pierworodne“. Bo sprawa budowy baraków, odpowiednich dla zakwaterowania w nich wartowników, albo sprawa umieszczenia ich w opróżnionych domach niemieckich musi oprzeć się o ściśle wojskowe czynniki amerykańskie, którym żadne władze nie uznają wydatków na np. budowę baraków dla c y w i l n y c h wartowników. Ani żadne centralne władze amerykańskie — przy najlepszej woli — nie zrozumieją potrzeby wysyłania ze Stanów Zjednoczonych *scripsów* dolarowych dla wypłaty c y w i l n y m wartownikom, zatrudnionym oficjalnie przez niemieckie instytucje, od których pobierają pensje.

To jest chyba dla wszystkich jasne.

I chyba również jasne jest, że sprawa zakwaterowania polskich wartowników stoi obecnie „indywidualnie“. Po prostu tam, gdzie odpowiedzialny za kompanię wartowniczą oficer amerykański, ma możność i chęć polepszenia warunków mieszkaniowych Polaków, robi to na własną rękę, korzystając ze swoich własnych prywatnych znajomości. Tam zaś, gdzie oficer amerykański nie ma możności lub energii, lub chęci polepszenia tych warunków, wartownicy polscy spędzili drugą zimę pod namiotami, oraz w wojskowych szpitalach amerykańskich, gdzie masowo przebywali na skutek przeziębień.

Na dobrej woli indywidualnej można wiele zbudować, można nawet uzyskać aparaty filmowe i mieć godziwą rozrywkę w zapadłych wioskach bawarskich, można w małych mieścinach zdobywać luksusowe zakwaterowanie — w żadnym jednak wypadku nie można zapewnić bytu dwudziestodwuletniemu inwalidzie...

I to jest karygodny błąd.

JANUSZ LASKOWSKI

Kontakty osobiste

Fakt, że dziesiątki tysięcy polskich żołnierzy przygotowuje się obecnie do życia cywilnego na ziemi brytyjskiej, czyni sprawę wzajemnych stosunków obu społeczeństw jak najbardziej żywotną. Nie mam tu bynajmniej na myśli zagadnień politycznych czy kontaktów urzędowych, ale sprawę dotyczącą tego, jak układają się i jak się mogą ułożyć warunki współżycia na płaszczyźnie czysto prywatnej i osobistej.

Według wszelkiego prawdopodobieństwa większość, a w każdym bądź razie znaczny procent Polaków, przebywających obecnie na tutejszych wyspach, będzie niedługo pracować zarobkowo w W. Brytanii w różnych zawodach cywilnych. Można więc sądzić, że „życie samo rozwiąże“ zagadnienie współżycia polsko-brytyjskiego i że nie warto się nad tym wiele zastanawiać. Gdy jednak wszystko pozostawia się „własnemu biegowi“, wyniki nie zawsze bywają zgodne z oczekiwaniami.

Dotychczasowe doświadczenia nasuwają szereg uwag. Tysiące Polaków, którzy mieszkali w Anglii już przez parę lat, ma ze swych osobistych kontaktów z Brytyjczykami wiele miłych wspomnień: uprzejmość gospodarzy, własne powodzenie, wzajemna serdeczność... A jednak trudno nie stwierdzić, że nastawienie szerokich kół społeczeństwa angielskiego jest do nas często obojętne, a rzadko naprawdę życzliwe. Duże odłamy robotnicze są nam nawet wręcz niechętne. Niewątpliwie wielką rolę odegrały tu przyczyny zgoła od nas niezależne.

Nie można jednak kłaść wszystkiego na karb wrogiej propagandy. Nasze przyjaźnie i nasze „powodzenia“ mogły być znacznie mniej powierzchowne, znacznie bardziej trwałe. Spacery ze Szkotkami były na pewno świetnym sposobem nauki angielskiego i bezsprzecznie potwierdziły raz jeszcze przysłowiowe polskie „szczęście do kobiet“, ale w rezultacie nie okazały się szczególnie dobrą „propagandą“. Liczne małżeństwa bez wątpienia zacieśniły jak najbardziej szereg polsko-brytyjskich więzów, ale o ileż liczniejsze były przypadki, gdy jedna „*friendship*“ za drugą rozwiewały się w nicość. Flirty, o ile nie wywołują gwałtownych zazdrości, z pewnością nie są „szkodliwe“, ale opieranie kontaktów osobistych z miejscową ludnością wyłącznie na flirtach — z pewnością nie mogło wpłynąć istotnie na prawdziwe i trwałe zbliżenie obu społeczeństw.

Nie twierdzę, że zjawisko to było powszechne. Niejeden Polak zadzierzgnął nierozerwalne więzy przyjaźni z rodziną szkocką czy angielską. Poza tym wyjazd oddziałów na front i t.d. musiał siłą rzeczy rozluźnić wiele mniej głębokich przyjaźni. Tym niemniej pozostaje faktem, że ani „stali mieszkańcy Londynu“, ani żołnierze w Szkocji nie wyszli w swej większości poza ramy bardzo powierzchownych zetknięć ze społeczeństwem brytyjskim.

Co innego jednak podczas wojny. Było nas wówczas mało, większość w mundurze. Żołnierze, szkolący się na front, nie mogą myśleć inaczej, niż kategoriami tymczasowości.

Ale obecnie jest nas wielu i mamy tu pracować zawodowo. Najwyższy czas, by nawiązać prawdziwą styczność z szerokimi kołami miejscowego społeczeństwa. Trudności językowe dla wielu z nas są duże. Można je jednak przezwyciężyć stosunkowo szybko. Obawa przed wynarodowieniem jest — na długą metę — zawsze bardzo istotna; obecnie jednak zagraża polskiemu społeczeństwu na wyspach brytyjskich raczej druga krańcowość: zasklepienie we własnym gronie, obcość wobec otoczenia.

Szereg towarzystw polsko-angielskich czy polsko-szkockich wykazuje żywą działalność, często jednak jedyną atrakcją są nader rzadkie i raczej „eksklusywne“ zabawy taneczne. Mimo wysiłków Polsko-Brytyjskiego Klubu Korespondencyjnego, brytyjska część imponująco rozrastającej się instytucji składa się niemal wyłącznie — z kobiet. Piękny komplement dla naszego „powodzenia“, ale niestety, również jaskrawy dowód powierzchowności kontaktów polsko-angielskich.

Stosunki nasze z miejscową ludnością winny zatracić charakter wyłącznie dancingowy i, jak nieraz w Londynie, klubowo-towarzyski.

W brytyjskich związkach zawodowych istnieją wpływy komunistyczne. Ale olbrzymia większość delegatów, którzy na kongresie w Brighton tak ostro występowali przeciw zatrudnieniu Polaków w przemyśle brytyjskim — to nie komuniści. Lewica brytyjska a z nią szerokie masy robotnicze są przywiązane do zasad demokracji i wolności. Trudno jednak nieraz o bardziej fałszywe wyobrażenia o polskim żołnierzu na Zachodzie niż wśród jej przedstawicieli.

Czy zrobiono coś z naszej strony, by temu smutnemu zjawisku przeciwdziałać właśnie na gruncie robotniczym, by otworzyć oczy brytyjskiego świata pracy na prawdę, by zwalczać propagandę istotnie skutecznie? Na pewno trzeba dużo czasu i cierpliwości, by rozwiać uprzedzenia. Jedynie współpraca Polaków, otrzymujących zezwolenia na zatrudnienie w W. Brytanii, z brytyjskimi robotnikami w ramach związków zawodowych może tu przynieść rezultaty.

Przy obustronnej dobrej woli współżycie polsko-brytyjskie może i winno ułożyć się dodatnio.

HENRYK TELSKI

Komitet Porozumiewawczy 3 Samopomocy

Sekretarz generalny Stowarzyszenia Polskich Kombatantów p. J. Maśliński wygłosił na odbytym ostatnio w Londynie Kongresie Zjednoczenia Polskiego w W. Brytanii — przemówienie w imieniu Komitetu Porozumiewawczego 3-ch Samopomocy. Zamieszczamy poniżej ważniejsze fragmenty tego przemówienia, ponieważ noszą charakter oficjalnego wyjaśnienia, jaki jest kierunek działalności 3-ch Samopomocy, które stanowią największą organizację społeczną wychodźtwa wojennego.

Komitet Porozumiewawczy 3-ch Samopomocy jest instytucją międzyorganizacyjną, koordynującą działalność Samopomocy Lotniczej, Samopomocy Marynarki Wojennej oraz Samopomocy Wojska — szerzej znanej jako Stowarzyszenie Polskich Kombatantów.

Te trzy organizacje społeczne, wyrosłe ze wspólnego pnia Polskich Sił Zbrojnych poza granicami Rzeczypospolitej, jednoczą łącznie ponad 40 tysięcy członków na terenie Wysp Brytyjskich. Liczba ich stale wzrasta.

Ruch samopomocowo-kombatancki, podjęty w pierwszej kolejności przez Lotnictwo, powstał w wyniku cofnięcia uznania naszym Najwyższym Władzom, co z kolei spowodowało decyzję demobilizowania polskich oddziałów poza granicami Państwa — na pół drogi do Kraju.

Nie leżało nigdy w naszych zamierzeniach przenoszenie struktury życia w szeregach na nowo rozpoczynający się dla nas etap życia cywilnego. Przeciwnie — podjęliśmy się pracy nad uspołecznieniem żołnierza, który po sześciu latach wojny mógł odwyknąć od form życia wolnego obywatela w wolnym społeczeństwie. O pomoc w wykonaniu tego zadania zwróciliśmy się do istniejących już organizacji społecznych, z którymi współpracowaliśmy dla zapewnienia swym członkom zespołowej i indywidualnej pomocy gospodarczej, zawodowej, kulturalnej i in.

Imię polskie na Zachodzie, w szczególności w tym kraju, ostatnio znowu zyskało na wadze. Mówi się o pełnym zatrudnieniu Polaków w W. Brytanii. Coraz częściej wspomina się naszych Kolegów z kampanii wrześniowej i Armii Krajowej, nawet wysiedleńców. Możemy tu sobie śmiało powiedzieć, że polskie organizacje społeczne *rzeczywiście* mogą się przyczynić do tego, by wychodztwo polskie stało się nie balastem, lecz cennym nabytkiem w każdym kraju swego czasowego czy też stałego pobytu. Mając taką ich rolę na uwadze, wyrażamy nadzieję, że głos polskiej reprezentacji społecznej, wypowiadany w obronie imienia polskiego oraz żywotnych interesów polskiego wychodztwa, zostanie uszanowany, niezależnie od koniunktury politycznej lub gospodarczej, czy to międzynarodowej czy też narodowej.

Wydaje się oczywiste, że w każdym demokratycznym społeczeństwie prowadzenie akcji politycznej należy do najwyższych władz, opartych o reprezentację istniejących, czynnych stronnictw politycznych.

Fakt niepodejmowania się przez organizacje samopomocowo-kombatanckie zadań politycznych nie świadczy jednak o braku postawy ideologicznej oraz nie może być komentowany jako zapoznanie zasadniczych celów, dla których pozostaliśmy poza Krajem.

Rzetelnie wykonując swój ściśle określony odcinek pracy, każda z organizacji społecznych przyczynia się w najlepszy sposób do spełnienia swych obowiązków wobec Kraju oraz wychodztwa wojennego.

Wacław JUNIAK ze wsi Łachy — Dwór w Polsce poszukiwany przez wuja, Wincentego Stemp — 6214 N. Monroe R.T.5, Monroe, Michigan, U.S.A.

NA PACZCE OD MYDŁA...

Obywatelki i Obywatele! Zgniła emigracjo i szczera demokracjo! Przyjaciele i wrogowie ludu! Faszyści i czerwonoskórcy!

Na wiosnę zawsze wraca do nas powiedzenie „coś w trawie piszczy“. *A proszę was, urzędowa wiosna zaczyna się 20-go marca. Trawa rośnie wysoko i bujnie. Pokryła ugór polityki międzynarodowej. Trawą zarosły i plewami rozmowy, umowy, układy i pakty. W tej prawdziwej puszczy, w tej istnej gęstwinie, poplątanych idiotycznie chwastów — coś piszczy...*

Mowa Trumanowa, moi mili demokraci, gruchnęła w tej puszczy i radosnym echem rozniosła się po wszystkich zakamarkach. Stare, pokręcone z kłamstwa i nadgryzione „przyjaźnią międzynarodową“ kaktusy; pyłem niedotrzymanych traktatów skurzone chwasty; złośliwie zagmatwane dyplomatyczne pokrzywy — ze strachem przykucnęły w trawie. Coś piszczy...

Nawet szlachetne krzewy zachwiały się lekko pod wrażeniem Trumanowych słów, lecz przepojone wieloletnią goryczą szepnęły sobie na ucho: „Nie dajmy się jeszcze raz...kiwnąć! Nie cieszmy się przedwcześnie! Tyle razy w trawie piszczało, a ona rosła jeszcze wyżej i jeszcze gęściej, pokrywając nas prawie po sam czubek...“

A jednak...

Mój sąsiad — orator z przyległej trybuny, którego specjalnością są tematy z dziedziny żołądkowej i biblijnej, powiedział, że ostatnia mowa była pierwszą mową od chwili ukończenia wojny, po której nie zbierało go na nudności, albowiem, takie słowa, jak „wieczysty pokój“, „szczęście i wolność jednostki“ „lepszy świat oparty na wzajemnym zrozumieniu i przyjaźni“ — wreszcie takie akty, jak wręczanie szabel i mieczy pamiątkowych, zamiana czapek, bankiety kawiorowo-szampanowe, przyprawiały mego biednego sąsiada-oratora o chorobę morską na stałym, a raczej bardzo niestałym lądzie wielko-brytyjskim.

To warto zapamiętać, że pierwszy raz padły inne słowa w marcu 1947. *Powiedziano wprawdzie, że jakaś tajemnicza siła fatalna teroru kontroluje prasę i radio przemocą opanowanych wolnych narodów, ustala z góry wyniki wyborów i zagraża osobistej wolności, usiłując wprowadzić rządy totalitarne.*

Siedzieliśmy obydwaj z moim sąsiadem pół dnia nad tą gazetą, z tą właśnie mową, czytaliśmy od deski do deski, ale ani rusz nie mogliśmy wykombinować o kogo to idzie?

Dość na tym, że siła ta zagraża Grecji i Turcji, co więcej, wyliczono, kogo już ta siła fatalna połknęła do tej pory. Ba! Nawet wymieniono nasz kraj po imieniu. Tym razem bez nawoływania do rozsądku, bez żądania realnej trzeźwości i porzucenia romantycznych, szowinistycznych marzeń.

„Truman — ja Ci tego nigdy nie zapomnę...“ — *szepce dzisiaj Grek, Rumun, Węgier, Jugosłowianin, Bułgar, Serb, Czechosłowak, Łotysz, Litwin, Estończyk, Ukrainiec, Finlandczyk — kto wie czy nie Chińczyk — i my tutaj na tej paczce od mydła.*

Szepczemy z trwogą, w obawie, że jutro ktoś te słowa odwoła, że pojutrze ktoś zaprzeczy, że w przyszłym tygodniu ktoś przeprosi, że Marshall ustąpi z „powodu złego stanu zdrowia“, a Wallace wystartuje z pojednawczym bankietem, że w kwietniu wszystko się załata, w maju wrócą słowa o wieczystej przyjaźni, w czerwcu...powróci choroba morska mego kolegi z sąsiedniej trybuny.

Tak, tak moi mili demokraci, chyba już nigdy nie potrafimy przyzwyczaić się do wysłuchiwania wielkich mów wielkich ludzi bez cienia wątpliwości i bez ironicznego uśmiechu.

Wszystko po wojnie poszło w górę: ceny mieszkań, ceny ubrań, ceny baconu, ceny marmelady... Spadła tylko jedna rzecz, zleciała na łeb na szyję na dno, w głąb trawy, między chwasty: wartość słowa. *I dlatego trudno uszom czasem wierzyć, bo uszy przywykły do czegoś innego.*

A piszczy coś w trawie — mówię Wam.

Niech się zacznie od dzikiego plemienia Ju-Ju i stolicy ludożerców Ciam-Ciam, wszystko jedno, ale niech się zacznie. Staniemy do ogonka wolności — obywatele i przyjdzie kiedyś na nas kolej.

Właściwie stoimy już w tym ogonku od września 1939. *Osiem lat. Warto więc postać jeszcze parę miesięcy.*

Zmęczeni z ogonka ubywają, niektórzy przysiadaja pod ścianami niezdecydowani, inni wpadli do rynsztoka i błotem ciskają we własną gromadkę ogonkowiczów.

W sklepie uchylono drzwi...

Znakomity, bogaty grocer — Truman — właściciel magazynu z tradycyjną wolnością, wystawił głowę i szepnął przez szparę w drzwiach: „Stójcie cierpliwie w ogonku, bo jeszcze nie mam dla wszystkich wolności! Spodziewam się otrzymać nowy transport via Turcja i Grecja. Jeżeli się nie doczekam, sam popłynę po towar. Więc „keep queueing“.

W ogonku zawrzało. Ale mocniej przytulili się ludziska do siebie, żeby wytrzymać.

Ci w rynsztoku zbaranieli i na gwałt co poniektóry zaczął wycierać ręce z błota.

Pod ścianami niezdecydowani wstali, by dołączyć.

A to było moi mili w urzędowym miesiącu wiosny roku 1947, *gdy zawsze pierwszy raz w tym czasie — coś w trawie piszczy.*

Żegnam was obywatele i obywatelki tradycyjnym zawołaniem: „Do ogonka! Wolność w drodze!“.

Do usłyszenia na tym samym miejscu o tej samej porze.

Wasz

OBYWATEL ŻĄDEŁKO

BIURO INFORMACJI I PORAD

Stowarzyszenia Polskich Kombatantów

Udziela bezpłatnie członkom Stowarzyszenia informacji i porad w sprawach:

- *zatrudnienia i zakładania warsztatów pracy w W. Brytanii,*
- *emigracyjnych,*
- *zakupu narzędzi pracy,*
- *prawnych,*
- *poszukiwania i pomocy rodzinom,*
- *szkolnictwa,*
- *uzyskiwania potrzebnych dokumentów,*
- *i innych.*

Godziny przyjęć interesantów: 10–12.
Adres: Dom Kombatanta, 18, *Queen's Gate Terrace, London, S.W.7, tel.: WEStern* 9175.
Oddział w Edinburgh'u: 13, *Glencairn Crescent, Edinburgh, tel.* 64090.

KOMUNIKAT

PACZKI DO KRAJU

Delegatura P.C.K. w Londynie, 96, Eaton Place, S.W.1.

Tel: SLO-5461

wysyła do Kraju następujące rodzaje paczek.

I. Paczki z papierosami Typ „P“ 200 sztuk ... ... cena **£0.16.6**

II. Paczki lecznicze:

Typ „A“ dla dorosłych (leki ogólno wzmacniające szczególnie serce, system nerwowy, przewód pokarmowy, watrobę itd.) ... ... cena **£2.3.0**
Typ „B“ dla dzieci (zawiera witaminy, odżywki i leki) cena **£2.5.0**
Typ „C“ dla kobiet ... ... cena **£2.8.0**

Prospekty na żądanie

Ponadto Delegatura wysyła na zamówienie paczki specjalne, zwłaszcza z Penicilliną. Paczki te wymagają podania wieku i choroby adresata, celem dobierania odpowiednich lekarstw.

Załączone w każdej paczce wskazówki pozwalają na zażywanie leków bez porady lekarza.

III. Pościelowe paczki standartowe

Typ „E“ zawiera: 1 koc, 2 prześcieradła, 2 poszewki, 2 ręczniki ... ... cena **£3.10.0**

IV. Paczki z obuwiem, zawierające nowe artykuły, wszystkich rozmiarów

Typ „M“ dla mężczyzn zawiera 1 parę butów ... **£2. 0.0**
Typ „R“ dla „ „ 1 parę półbutów **£1.12.0**
Typ „S“ dla dzieci od 3 do 8 lat 1 p. bucików ... **£1. 0.0**
Typ „T“ „ „ 9 „ 15 „ 1 p. bucików ... **£1. 5.0**
Typ „U“ dla kobiet zawiera 1 parę bucików ... **£1.12.0**

Przy zamawianiu paczek należy podać wiek dziecka wzgl. rozmiar zamawianych artykułów.

—Wszystkie paczki wysyłane są do Zarządu Głównego PCK w Warszawie (ul. Nowogrodzka 49 „Roma“), skąd rozsyłane są środkami PCK do jego oddziałów prowincjonalnych, doręczając je adresatom za pokwitowaniem. Pokwitowania te są zwracane Delegaturze, która odsyła je nadawcom. Niezależnie od tego Polskie Radio w Warszawie podaje w poniedziałki, środy i piątki na krótkich falach 49.06 godz. 20. 20-30 specjalne audycje z nazwiskami osób, które otrzymały paczki.

LOS CZŁOWIEKA
zależy od ośmiu gruczołów
(ODMŁODZENIE GRUCZOŁÓW DOSTĘPNE JEST DLA KAŻDEGO)

WIEDZA WSPÓŁCZESNA zaznajomiła nas z istotą życia — z Gruczołami. Odmładzanie gruczołów otwiera nowe horyzonty we wszelkich dziedzinach życia. Faktem jest, że cechy zarówno umysłowe jak i fizyczne, wzrost, waga, usposobienie, zależne są od gruczołów **wewnętrznego wydzielania.** Funkcje gruczołów są od siebie niezależne, a razem wzięte tworzą cały system. Wydzieliny gruczołowe docierając przez system krwionośny do ośrodków energii umysłowej, fizycznej i płciowej, rządzą ich przejawami.

WIEK CZŁOWIEKA jest „wiekiem jego gruczołów“. Żywotność i samopoczucie zależą od jakości i zrównoważonego przypływu tych wydzielin. Tylko wtedy osiągamy pełnię sił, gdy gruczoły funkcjonują prawidłowo. Słabość jest wynikiem wadliwej równowagi lub niewystarczającej ilości wydzielin, te jednak mogą być uleczone przez Hormonoterapię.

PRZEDWCZESNE STARZENIE SIĘ, utrata energii i żywotności, osłabienie, zmęczenie, bezsenność, brak apetytu, bóle i ogólne niedomagania, osłabienie wzroku, wypadanie włosów, nerwowość, neurastenia, wyczerpanie umysłowe, nerwica żołądka, częściowy lub całkowity zanik sił męskich — wszystkie te symptomy dowodzą, że organizm przestał sprawnie pracować na skutek braku równowagi lub niestarczającej ilości wydzielin, co może być łatwo usunięte za pomocą Hormonoterapii.

HORMONOTERAPIA, czyli leczenie gruczołowe, jest wiedzą, polegającą na odmładzaniu gruczołów. Działanie jej polega na wznawianiu sił żywotnych nie drogą sztucznej podniety lecz przez docieranie do źródła niedomagań fizycznych, umysłowych, nerwowych i płciowych. Hormonoterapia przywraca pełnię sił utraconych na skutek chorób, wieku lub nawet chronicznego osłabienia.

DLA KOBIET stosowanie Hormonoterapii okazało się zbawienne w leczeniu wielu zaburzeń organicznych, towarzyszących wiekowi przejściowemu.

JAK ZACZĄĆ ŻYCIE NA NOWO. British Glandular Products pragnie służyć swą wiedzą i długoletnim doświadczeniem. W razie rozpoznania któregokolwiek z powyżej opisanych niedomagań, a szczególnie w wypadkach, gdy próby innych metod zawiodły, prosimy zwrócić się do nas. Wiemy, że możemy pomóc w odzyskaniu równowagi umysłowej, fizycznej i odzyskaniu męskości. Wiemy, gdyż pomogliśmy już wielu tysiącom. Prosimy wypełnić poniższy kupon i załączyć znaczek poczt. za 3d. a prześlemy naszą broszurę p.t. **„ISTOTA ŻYCIA“.**

BRYTYJSKIE WYTWORY GRUCZOŁOWE

Do British Glandular Products, Ltd. (PWP. 779), 35, Albemarle St., London, W.1.

Proszę o nadesłanie mi, bez zobowiązania: broszury p.t. „ISTOTA ŻYCIA“ (znaczek poczt. za 3d. załączam) lub 100 TESTRONES Brand Tablets dla mężczyzn, 100 OVERONES Brand Tablets dla kobiet, załączam 10/-

(niepotrzebne skreślić)

NAZWISKO ....

ADRES ....

....

Bernard Pilarski, Ansbach, Feuchtwangerstr. 51, Bavaria, U.S. Zone, Germany poszukuje na terenie Wielkiej Brytanii rodziny SAJKOWSKICH z Bydoszczy, ul. Zamojskiego 11. Pragnie również zawiadomić, że rozmawiał z Eugeniuszem Sajkowskim w końcu kwietnia 1945 r.

Eugeniusz Sajkowski był moim najbliższym pryjacielem i dlatego pragnąłbym skomunikować się z jego rodziną celem podania, wzgl. uzyskania wiadomości o nim.

SPIS RZECZY

WYDAJE „FIGHTING POLAND“ TRUST
Adres Redakcji (Editorial Offices): 52, Halton House, 20-23 Holborn, London, E.C.1. Tel. CHAncery 7747.
Redaktor przyjmuje w poniedziałki i wtorki od godziny 11-ej — 13-ej.
Redakcja nie zwraca rękopisów niezakwalifikowanych do druku.

Warunki prenumeraty: (z przesyłką pocztową) w Wielkiej Brytanii miesięcznie 1sh. 6d., kwartalnie 4 sh. 6d., w U.S.A. i Kanadzie miesięcznie 35 c., kwartalnie $1.00 c.
Należność prosimy wpłacać z góry przekazem pocztowym lub czekiem na „FIGHTING POLAND TRUST“ pod adresem Administracji.
Ceny ogłoszeń: 1 cal przez jeden łam — £1 ($5). Zarezerwowane miejsce 50% drożej. Ogłoszenia na pierwszej stronie w miarę wolnego miejsca o 100% drożej. Ogłoszenia drobne: jednokrotne 6d. za słowo, dwukrotne 9d. za słowo, trzykrotne 1 sh. za słowo. Poszukiwanie i zaofiarowanie pracy: jednokrotne 4d., dwukrotne 6d., trzykrotne 8d. za słowo.
Poszukiwania osób rodzin wojskowych bezpłatnie w miarę wolnego miejsca.
Adres Administracji (Business Offices): 69, Earl's Court Square, London, S.W.5. Tel.: FLAxman 8600

Printed for „Polska Walcząca“ by Williams, Lea & Co., Ltd., Clifton House, Worship Street, London, E.C.2. Registered at the G.P.O. as a Newspaper.